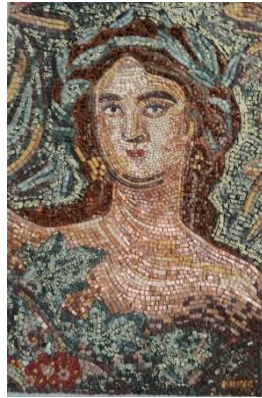


WANDA – fragmenty



KRAINA BESTII

- Daruję ci tym razem, bo wcześniej okazałeś się przydatny! Ale... – warknął Dacjan, lecz nie dokończył przemowy, a jego przypominająca wielbłądzie racice pięść, zawisała w powietrzu tuż nad głową Grakchusa. Łysa, czerwona i skropiona potem czaszka odwróciła się gwałtownie w kierunku, skąd doleciał ich wysoki okrzyk. Przez kilka uderzeń serca mężczyzna trwał nieruchomo, po czym rzucił się ku przodowi karawany, odpychając blokujących mu drogę ludzi. Ci, widząc gwałtowność jego ruchów, bez namysłu sięgali ku jukom wiszącym na zwierzętach, gdzie znajdowała się broń. W ciągu kilku mgnień oka mężczyźni i kilka niewiast utworzyło obronny okrąg, chroniony różnobarwnymi i różnokształtnymi tarczami, połyskujący grotami włóczni i różnej długości mieczami. Grakchus chwyciwszy za ramię i sznury, próbował ściągnąć kilka zwierząt do zagłębienia przy dukcie, chronionego dodatkowo przez wijące się jak włosy gorgony korzenie potężnego drzewa, które musiało paść pewnikiem tego lata, bo z gałęzi wciąż zwisały smętnie skręcone, zwiędłe liście. Nad koroną skarpy pokazała się na moment głowa Pulcherii, która tylko otworzyła szeroko usta i natychmiast zniknęła.

Odetchnął, skupiając się na rudym, kudłatym wole z białą łatą, otaczającą oba ślepia, który uniósł łeb i zaczął gwałtownie niuchać. Było to spokojne zwierzę, świadome swego ogromu, które tylko raz wpadło w panikę, gdy barbarzyńcy podpalili suche krzaki, obok których się przesuwali.

- No, stary, spokojnie – poklepał bydlę po łbie. Stojący obok panoński kuc parsknął trwożnie, po czym zakwiczał.

- Hu... – głos zamarł Grakchusowi w gardle, gdy poczuł wibracje. Zupełnie tak jak w *Castrum Noricum*¹, gdy pewnej nocy zatrzęsa się ziemia. Inaczej niż wtedy nie słyszał owego podziemnego dudnienia, które ludzie nazwali wulkanowym śmiechem, ziemia nie falowała jak morze, lecz drżała jak on, kiedy zimą jego parszywy brat, Tytus, wepchnął go do pokrytej lodem rzeki.

Brzegi piaszczystego zagłębienia poczęły sypać stróżkami piasku, a przez głosy strwożonych zwierząt przedarł się trzask łamanego drzewa. Choć jeszcze moment temu pocił się

¹ Obóz rzymski, w prowincji *Noricum*, niedaleko *Castrum Vindobona*, czyli dzisiejszego Wiednia.

niezmiernie w późnojesiennym upale, to teraz po plecach przebiegł go lodowaty dreszcz. Dłonie ściskające rzemienie, bezwiednie dotknęły panońskiej kurty, pod którą miał zaszyty miedziany krzyżyk, jedną z niewielu pamiątek po matce.

- Hu, hu! – Wrzasnął trwożnie na wołu, który napał na niego, popychany przez zezowatego muła.

Nad zagłębieniem pojawiła się sylwetka jednego z synów kupca z *Carnuntum*², który dołączył do ich wyprawy, jako ostatni. Chłopak rzucił mu przerażone spojrzenie, po czym śmignął jak strzała, ginąc z oczu. Ziemia drżała jak człek w gorączce a narastające dudnienie i ryk utwierdziło Grakchusa, że to bożek Wulkan ziemią trzęsie. Kuc wierzgnął, po czym stanął dęba i gdyby chłopak nie odskoczył, to jego kopyta uderzyłyby go w pierś. Zwierzę ruszyło gwałtownie wyszarpując z dłoni rzemień i pokwikując wyskoczyło na brzeg zagłębienia. Kolejny obraz, który dostrzegł, będzie go zapewne prześladował do końca życia – największa bestia, jaką widział!

Kiedyś, jeszcze dzieckiem będąc, widział olifanta³ w czasie igrzysk wystawianych na cześć cesarza przez gubernatora prowincji. Poganiacze zatrzymali się z olbrzymem, który na grzbiecie niósł przemyślnie wykonaną i jaskrawo malowaną wieżę tuż koło gospody, gdzie się zatrzymał Grakchus, Tytus i Marcjan wraz z opiekującym się nimi wyzwolencem. Jeden z poganiaczy bezceremonialnie ściągnął z wozu rolnika kosz pełen jabłek i począł podawać zwierzęciu, które natychmiast skupiło się na jedzeniu, pomrukując z zadowolenia. Wkrótce zwierzę ruszyło ku arenie, gdzie jak powiadano, słusznie odtworzyło przebieg punickiej wojny, miażdżąc wielu gladiatorów odzianych w rzymskie zbroje.

Rudy, włochaty łeb, uzbrojony w rogi dłuższe od jego ramion wyłonił się zza korzeni zwalonego drzewa w aureoli światła, przebijającego się poprzez rzednący parasol liści, przypominając Grakchusowi płaskorzębą pogańskiego boga. Spojrzenie bestii przeniosło się na kuca, który wciąż stał na brzegu: jej ryk ogłuszył i człowieka i zwierzęta; zaraz zza korzeni wyłoniła się góra pokrytych krótką sierścią mięśni, która z miejsca wystrzeliła i nim zdołał mrugnąć, potężne rogi przebodły biednego kuca, unosząc go z lekkością w powietrze. Bestia ponownie ryknęła i zakręciła głową zrzucając nieszczęsne truchło do zagłębienia, w którym on wraz z bydłatkami schronił się. Ostatnią rzeczą, którą zapamiętał, było kolejne rogate zwierzę na skraju dołu...

*

- Żywie! Żywie! – Rozległo się gdzieś w pobliżu.

Nie zrozumiał sensu odpowiedzi, lecz pojął wściekłość odpowiadającego człowieka. Potem poczuł rosnący ból w piersiach i duszność. Kaszlnął, a grot bólu przeszył go na wylot. Czyjeś ręce przewróciły go na bok, głowa uderzyła w piach, ale z ust i nosa wylały się krew z nieczystościami. Mimo wielkiego cierpienia wyrzucił z siebie to, co blokowało dychanie. Te same ręce usadziły go opierając plecami o skarpe, a dłonie poczęły oczyszczać włosy i twarz.

- Słyszysz mnie? Grakchu? – Skrzeczący głos Pulcherii musiał być jedynym takim w całym imperium.

Z trudem otworzył oczy. Łzy piekoty i bólu natychmiast trysnęły strumieniem, ręka, pomimo bólu otarła je, rozmazując brud na gębie.

² Obóz rzymski i osada w prowincji Panonia, niedaleko obecnej granicy Austrii i Słowacji.

³ Słonia.

-Siedź tu, idę opatrzeć innych – czerwona plama pomiędzy dwoma brodawkami na twarzy Pulcherii poruszyła się i odpłynęła. Podniósł przed oczy dłonie i dostrzegł na nich krew.

Jestem ranny? Ręce słuchały się go jak jakoweś gałęzie, ale zdołał obmacać się od góry aż do kolan. Najwięcej krwawnicy było na czerepie, nos zapychał się znowu, więc z trudem, uciskając dłońmi żebra, wydmuchał tworzący się skrzep. Przez chwilę dychał ciężko, rozglądając się. W dole, tuż pod korzeniem obalonego drzewa leżało zakrwawione truchło kuca. Zamarł, kiedy pamięć przywołała obraz przepotężnej bestii, lecz dolatujące od szlaku pokrzykiwania ludzi i głosy zwierząt uspokoiły go nieco. Zaciśnął zęby i trzymając się dłońmi za żebra, powoli uniósł. Omroczyło go, a żołądek zaprotestował. Młodzian jednak uczynił pierwszy, niewielki krok, potem kolejne, aż z trudem wydostał się z zagłębienia pod korzeniami zwalonego drzewa. Pierwszym, co dostrzegł, było wciąż podrygujące ciało muła, z którego ciała wypływały wnętrzości otoczone chmurą brzęczących much. Dalej, przy szlaku leżały okryte płótnem dwa ciała. Po zawiniętej ciźmie poznał, że to syn owego kupca z *Carnuntum*⁴. Między drzewami migwały sylwetki ludzi, którzy łapali i sprowadzali ku karawanie popłoszone bydłeta.

- Grakchu, miałeś siedzieć! – Zza pleców doleciał go głos Pulcherii. Odwrócił się ku niej powoli i pokręcił głową.

- Pomogę! – Sapnął z wysiłkiem. Przystanęła tuż przed nim, z napięciem taksując go wzrokiem. Znacznie starsza, znacznie niższa i pulchniejsza. Jej szpetną twarz zdobiły jedynie cielőco wielkie, smutne oczy. W rzadkich włosach miała pełno igliwia i gałązek.

- Idź tam w dół, ku strudze, obmyj się i napełnij bukłak. Uciekać stąd musim.

- Czemu?

- A nie czujesz? – Pociągnęła nosem i zwróciła się ku kierunkowi, gdzie płynęła struga. Teraz i Grakchus mimo zapchanego nosa poczuł charakterystyczny scent unoszący się w powietrzu. Gdzieś niedaleko płonęła puszcza.

- Jeno rychło, bo ogień niedaleko.

- A co z nimi? – Wskazał głową na ciała?

Wzruszyła ramionami.

- Dacjan się piekli, sporo zwierząt straciliśmy, ludzie też pobici. Ruszaj!

Trakt i puszcza wokoło były stratowane przez stado bestii. Wielkie ślady racic głęboko wcisnęły się w podłoże, rozrywając poduszki mchów i krzewinki borówek. Sam brzeg strugi, który przechodzili wyglądał teraz jak wielkie bagnisko, zawałone leśnym rumoszem. Grakchus pokręcił głową i ruszył wzdłuż brzegu, gdzie spodziewał się czystszej wody. Wreszcie powoli przyklęknął i spojrzał w leniwie sunącą wodę. Włosy o kolorze złota, które odziedziczył po równo po matce i ojcu, centurionie Miesiclu⁵, były w nieładzie, sklezione krwią i błockiem. Dotknął twarzy - pod strupem na żuchwie poczuł świeżo zastygłą ranę. Cały lewy policzek był starty i zaczerwieniony. Pochylił się i ochlapał wodą, a potem po prostu wsadził głowę w strumień. Trzymał tak przez moment, aż zimno ugasiło cierpienie. Nabrał powietrza, po czym delikatnymi ruchami począł ścierać brud z twarzy i głowy. Wreszcie sięgnął po skórzany bukłak przytroczony do pasa i wsadził do wody, wpatrując się w pęcherzyki powietrza uchodzące ze środka. Trzask obok przeraził go straszliwie, lecz zaraz odetchnął głęboko. Rudy łeb z białą przepaską na oczach fuknął przepraszająco, po czym zanurzył się w strudze i począł pić. Grakchus pogłaskał bydlę po szyi, a gdy skończyło, chwycił za ramię

⁴ Obóz wojskowy w prowincji Panonia. Obecnie można zwiedzać ruiny i rekonstrukcje w Petronell-Carnuntum w Austrii.

⁵ Miesiclaus – imię Wandalskie. Przypomina słowiańskie Mesco (Mieszko).

zwisający z rogów i pociągnął za sobą. Wół ruszył jakby nic nadzwyczajnego się nie stało, fukając statecznie, jak to zwykł był robić. Szli tak szybko, na ile pozwalał ból w piersiach, z krótkim przystankiem obok turzego cielaka, który leżał w pobliskich krzakach. Grakchus przeżegnał się i przyspieszył. Chyba już wiedział, co spłoszyło stado bestii i o mało nie rozbiło ich karawany w puch.

.....

*

Dwa dni pólsiedzieli – półleżeli, w cuchnącej nie tylko bydłym gównem obórcie, cierpiąc katusze z powodu obrzmiałych i drętwiejących od solidnie zadziergniętych więzów rąk i nóg. Herro udało się jakoś przekręcić, odszukał szczelinę między deskami ściany, przez co widok na kawałek podgrodzia zyskał. Okazało się, że zamknięto ich opodal budynku stróży przy dolnej bramie. Biedak począł wrzeszczeć, lecz wkrótce zachrypnął. Jedyne, co dostrzegł, to wyjazd karawany z grodu i niezbyt przyjazne zachowanie mieszkańców. Potem pojawił się Vitislaw z nieodłącznym wąsaczem, który kilkoma kopniakami przypomniał o ich nędznym statusie. Nocą pojawiła się Gudila – cała trzęsąca się i zachlipana. W Hostratheudo zapanowało bezprawie. Mimo protestów zabrali jej najstarszego syna – Anttego, podobnie jak kilku innych podrostków, którzy mieli służyć jako poganiacze i posługacze w karawanie. Protestującym mężczyznom wojowie Lupinusa zagrozili wyrzuceniem z grodu i ostrzami mieczy, co w każdym wypadku oznaczało śmierć.

- Fanna też znikła – głos kobiety załamał się i rozszlochała się na dobre.

- Czy, czy tobie i reszcie dzieci nic się nie stało? – Wydusił z siebie przez spierzchnięte wargi Grakchus.

Szloch nasilił się, a młodzian pognębiony poczuł cieknące łzy. Starał się je powstrzymać, potem jednak uzmysłowił sobie, że i Herro ciężko dyszy, więc popołożył cierpieniu. Niewieście pozwolono napić obu i posmarować tłuszczem otarte miejsca, po czym została wyprowadzona, a towarzyszący jej strażnik obłapił ją chutliwie.

- Zemszczę się! Zarznię go jak psa! – Wycharczał Grakchus w mrok.

- Ty, chrześcijanin?

Grakchus zamilkł. Herro wciąż tkwił w pogaństwie, obwieszony amuletami, rzucając klątwy i zaklęcia, zostawiając obiady różnym bożkom, demonom i duszkom.

- A ja myślałem, że wam mścić się nie wolno. Macie nadstawiać drugi policzek, jak gadał jakiś człek z krzyżem na piersi. Co rzekniesz?

Lecz Grakchus milczał. Herro przekręcił się.

- To jak tam z wami, chrześcijanami jest?

- Nie wiem... Mój ociec przyjął chrześcijaństwo a matka, choć krzyż nosiła w ariańskim obrządku, to ołtarzyków domowych nie usunęła. Jak i moi przybrani bracia. Jak myślę... ojciec, choć twardy z niego był żołnierz i nieraz kazał ćwiczyć legionistów ze swojej centurii, to nie był okrutny. Gdy ktoś żałował za winy, dawał mu zamiast kary tę... pokutę. Sam kilka razy zamiast ojcowego rzemienia ją wybrałem. Chyba wolałem wtedy ból dupy i pleców niż to, co musiałem robić. Na przykład opiekować się młodszymi siostrami po jego miejscowej żonie i ani razu nie podnieść na nie ręki. A to były małe żmije... Lecz teraz myślę, że ojciec, choć z Wandali pochodził i rękę miał ciężką, to bardziej mnie kochał niż matka, która z jednej strony mnie tuliła a z drugiej zezwalała, by jej prawe dzieci traktowały mnie jak niewolnika...

- Ja tam nie wybaczę ani kupcom ani Dacjanowi porwania Fanny i tego pohańbienia. Kiedy się uwolnimy...

- Kiedy?

- Coś przecież wymyślisz. A ten twój Jezus cię nie opuści, choć strasznie nagina twój kręgosłup.

Moi bogowie mają gdzieś, co robimy. Tylko trzeba starać się, żeby nie zaniedbać ofiar, bo zaczynają być złośliwi. I dlatego jak wpadnie któryś w moje ręce, to złożę z nich ofiarę.

- Nie, nie zrobisz tego! – Głos Grakchusa stwardniał.

- A co, przeszkodzisz mi? – Herro także podniósł głos.

- Bo nie taki jest boży plan. Ani mój, ani twoi tego nie chcą. Przynajmniej na razie.

- Jasne, mamy tu zdechnąć.

- Chyba nie. Nie po to nas trzymają związanych. Vitislaw z rozkoszą by mnie pociął.

- Czyli nie jesteśmy w jego woli. Sendiwuja? Genezeryka? Lupinusa?

- Nie wiem, ale zapewne dowiemy się.

Zapadła cisza. Na zewnątrz rozszczękał się pies, doleciało ich też przytłumione sapanie jakiejś chutliwej pary. Grakchus poczuł ścisk gardła.

- A powiedz dokładnie, jak trafiłeś do karawany? Bo ja... mnie ścigali vigilli. Poza tym skłamałem, że dobrze znam różne języki i że umiem poskramiać zwierzęta. Wydało się, kiedy już przeszliśmy przez góry, ale wtedy każdy poganiacz był potrzebny. A że byłem... jestem silniejszy niż każdy z was, to i zrobili mnie starszym... No, a jaka jest twoja historia?

Grakchus przez dłuższą chwilę milczał i Herro pomyślał, że zmęczony omdlał.

- Sam dobrze jej nie znam. Pewna służka z domu matki powiadała mi, że Fulwia – tak miała na imię - choć pochodziła z ekwickiej rodziny i to wpływowej, to nie przynosiła swoim ojcom i przodkom wielkiej chwały. Lubiła mężczyzn. Jej pierwszy mąż był legatem legionu, drugi zaś nawet konsulem, choć znacznie od matki starszym. Gdy zmarł, służba gadała, że chyba ktoś mu pomógł w drodze do Plutona. Tuż przed śmiercią konsula przybyła do miasta kohorta wojska. Jedną z centurii, w której był Miesiclaus, zakwaterowano w posiadłości. Coś się stało, że żołnierze zostali przez kilka miesięcy, a matka ponoć od pierwszego wejrzenia zakochała się w optio. Dlaczego wybrała go? Nie wiem, choć ojciec był... jest bardzo postawnym mężem. Kiedyś, gdy był pijany gadał, że pochodzi z plemiennej arystokracji, lecz jakiś przeklętnik obalił jego ojca i musieli za limes uciekać. Potem ojciec z centurią wyjechał i ja się urodziłem. Jako pogrobowiec konsula, lecz jak mówiła ma ta służka – wystarczyło spojrzeć na mnie, by wiedzieć, z czyich łędźwi się wywodziłem. Poza tym, ów konsul ponoć bardziej chłopców wołał... Ale matka była bardzo uparta i przez kilka pierwszych lat byłem wychowywany w posiadłości, choć trochę z boku. Lecz gdy wyszła za mąż kolejny raz, oddała mnie, a ja trafiałem do coraz to różnych rodzin. Niewiele z tego pamiętam i zresztą nie chcę. To moje znamię na łokciu – ponoć przymarłem do swojego legowiska, kiedy miałem siedem czy osiem lat. Mój ojciec jakimś cudem się dowiedział o moim losie i za duże pieniądze wykupił mnie. I tak trafiłem do jego rodziny przy obozie legionowym. Macocha i jej dzieci mnie tolerowały a ojciec nie miał dla nas czasu, bo wtedy był już centurionem i to w pierwszej kohorcie. Lecz mimo to chciał mnie codziennie widzieć, więc nauczyłem się wkradać do obozu mimo straży i wysokiego wału. Nawet jeden z trybunów mnie polubił i przy nim począłem składać litery. W legionie było kilku takich ulubieńców jak ja. Braлиśmy udział w paradach dmąc w trąbki czy parując w dziecinnych panczykach obok dzieci oficerów. Wtedy byłem dla nich popychadłem, ale to był szczęśliwy czas.... – zamilkł.

- Ledwie już dycham. Śpijmy.

*

Trzeciego dnia wyprowadzono ich z chlewika i wśród śmiechów i wyzwisk gawiedzi, która wcześniej podziwiała obu za ich walkę z Hunimi, wyprowadzono z grodu. Herro był pewien, że idą na mękę, lecz uwiązano ich za ramiona i wrzucono z pomostu do Wandali. Rzeka pełna była drobnej kry, szeroko rozlana aż po horyzont i zapierająco zimna. Wyprano ich jak stare, zapchlone szmaty i wyciągnięto na brzeg. Stał tam już Sendiwuj ze swoimi przybocznymi, oglądający stan swojego targowiska. Głośno poburkiwał to wykrzykiwał na kilku młodszych mężów, którzy milczeli z wykrzywionymi złością gębami. Potem odwrócił się ku ciągniętym na linach Rzymianom. Coś miał rzec, ale jeno wysunął szczękę, jak bojowy mastyf szykujący się do ugryzienia.

- Ti zdradiliste nas. A chcieli dat wim ziemie kele grodu i k Wandom przyjąć. – Rzekł smutno.

- Kupec Artakes poznał ti i pochwyił. Łon chciał was wpierwe ubit, ale z was rabiejów uczynie. Kowal wam zeleza na giry założy, jeno tera zajęty est. Za zdrade zaplacite.

- Panie, ale to nas Artakes zdradził. Kazał was szpiegować, ale nie zgodziłem się. Przecie za Hostratheudo oba z Herro mało życia nie dalim!

- Tera ne wiada, kto zdradil. Szesc dobrych koni dalim i trza to odrobić. Zabrat tich! Strażnicy szarpnęli za sznury i powlekli do grodu. Przechodząc przez bramę Grakchus pochwyił badawcze spojrzenie Radagajsta, który zaraz wrócił do gadki z innym strażnikiem. Przed chlewem pozwolono im zjeść z koryta papki z rozgotowanego świńskiego jadu, po czym przegoniono aż do górnego grodu. Grakchus szeroko rozwartymi oczami chłonał znane sobie widoki i twarze ludzi, z którymi w większości już dobrze się poznał. Były obojętne, niektóre nawet wrogie. Jakiś dzieciak rzucił w nich grudką psiego gówna, na co Herro zdołał wykręcić się i celnym kopniakiem posłał szczyla na ziemię. To zaraz wznieciło nienawistne okrzyki i wrogie gesty. Nie zamknięto ich, bo od wieży odezwał się róg, potem zaraz kolejny i uderzono w gong. Ludzie wpierw rzucili się ku swoim domostwom, by pochwyić bądź oręż, bądź ukryć resztki tego, co jeszcze w grodzie ostało. Lecz rychło podniosły się radosne okrzyki. Oto wracała armia wodza Xymoxa, a za nią dostrzeżono wielkie stado bydła. Nawet obaj młodziankowie pomyśleli, że wkrótce, choć kości dostaną do ogryzienia, a z pełnymi żołądkami i myślenie działało. Już ci, którzy kryć się chcieli wybiegli i pognali do nadrzecznej bramy, by wybawiciela powitać, choć żegnali go przekleństwami. I pierwszymi dostrzec, czy z wyczuwaną wiosną coś nowego w Hostratheudo może się objawić.

.....

ZNAK HAŃBY

Setidava⁶. Tak brzmiała wielokrotnie powtarzana z wyraźną ulgą w głosie nazwa owego grodu, przy którym stanęli. Mówili to ich strażnicy, po czym twarze rozszerzały się uśmiechami obietnicy chwały, zysków i hulank. Pierwszą noc spędzili w otoczonej wysoką na człeka palisadą zagrodzie pokrytej bydlęcym nawozem i okrutnie cuchnącym błockiem.

⁶ Miejsce utożsamiane z Koninem.

Dano im wreszcie do woli wody i rzucono podgnięte rzepy, którymi choć trochę można się było pokrzepić.

- To usz koniec marszu? – Zapytał go Radagajst, a leżący i siedzący w pobliżu przytomnie spojrzeli nań. Otworzył usta, aby rzec, że nie wie, lecz jeno głośno przełknął. Wiele myśli przemknęło mu przez skołataną głowę i żadna nie była tą radosną.

- Przynajmniej na razie koniec – rzekł z trudem. Skąd przecież miał wiedzieć? Jak inni szedł zupełnie otępiąły i jedynie najprymitywniejsze instynkty utrzymały go przy życiu. Z ośmiu, którzy rozpoczęli marsz uwiązanych do drąga dwóch zostawili po drodze, nawet tego nie zauważając. Lecz teraz, jak i reszta, czuł ulgę, iż choć ten straszny marsz się skończył i nadzieję, że przecież przyszłość gorsza być nie może. Głód go dziś nie skręcał a wręcz przeciwnie, nawet od „nadmiaru” rzepy kiszki poczęły w nim tańcować.

- Po coś nas tu przecie ciągnęli tyle czasu... – mruknął po chwili.

- Złożą nas w ofierze swoim bogom – warknął Herro ze zdumiewającą energią.

Dopiero po chwili Grakchus zrozumiał, że Rzymianin rzekł to w całkiem składnej wandalskiej mowie.

- U nasz ludzi ne składamy bogom – wtrącił się do rozmowy Bartumej. – No, jeno wrohów, ale łone jeszcze tich dwóch Hunich majo.

- Sprzedadzą nas, jako rabiejów – głos Fercho uciszył wszystkich. Zapadła cisza.

- A może jeno każo las karczować i osadzo nas – Bartumej próbował wlać w serca nadzieję, choć widocznie w sam to niezbyt wierzył. – Sporo wojów padło, a przecie tyle wolców roboczych przygnał Genezeryk. Setidava to jeho gród. Tera my spać legnijmy, bo ne wiada co rano przyniesie.

Grakchus skinął głową. Znów czuł przemożne zmęczenie, choć innego rodzaju niż wcześniej. Jego głowa odwykła od pracy, a teraz nadmiar myśli okazał się bardzo męczący. Ziewnął jeno i oparł się o bok chrapiącego człowieka.

*

Następnego dnia w Setidavie poczęli zbierać się ludzie. Choć w polu robota już się zaczęła, choćby przy zbieraniu kamieni, które ziemia przez zimę rodziła, choć pierwsze radła, co suchsze i cieplejsze kawałki gleby ciąć poczęły, choć dzieci i baby nawóz rozrzucać miały, to pokusa zobaczenia tylu nowych jeńców i zdobytych bydła i także obejrzenia sobie tych, którzy może w pobliżu osadzeni zostaną była zbyt wielka. A i szansa sprzedania futer ułowionych zimą zwierząt, utkanych lnianych czy wełnianych materii, wygarbowanych skór, wypalonych garnków i mis, pozostałej rzepy czy ziarna wraz chęcią zakupu czegoś nowego do obejścia była wielka. Setidava leżała na szlaku jantarowym z tym, że dawno już żadna karawana z dalekiej Romy nie zawitała. Tedy szansa pohandlowania zdała się ważniejsza niż głód rolniczej pracy. Tym bardziej, że zbliżało się święto.

Jeńców zaś podzielono na grupki i poprowadzono nad rzekę wiodącą muliste, rozlane wody, by obmyli się solidnie. Zaraz też jakiś kudłaty dziadun począł ich obmacywać, zaglądać w zęby i w zadki niewyraźnie charcząc do towarzyszącego mu dobrze ubranego młodego wojownika. Przy tej okazji ogolono im łby pozbawiając życia spore stada wszy i zabrano stare łachy. Grakchus zobaczył jak nędznie wygląda, jak poranione jest jego ciało i prawie rozplątał się. Więcej miał szram, liszaju i innego świństwa na sobie niż zdrowej skóry. Dano im czyste, połatane koszule z szorstkiego lnu i kawałki skór, by porobili sobie łapcie. Wreszcie zawiedli ich do podgrodzia, gdzie dostali jeść po sporym kawałku ryby rozgotowanej w kaszy. Tak jak inni, rzucił się nieprzytomnie na jedzenie, choć przecie nikt im nie wyrwał jadła. Trzymano ich w czymś w rodzaju stodoły, jeno za nogi związanych, a przez budowlę, co rusz przesuwali się procesje ludzi oglądających jeńców. Grakchus zacisnął żęby, gdy jeden z nich począł go

obmacywać jak muła jakiego, wsadziwszy mu wpierw łapę w jajca a potem w gębę. Herro się zbuntował więc zarobił rzemieniem po grzbiecie aż pękła koszula i trysnęła krew. Byli zbyt słabi na opór. Byli w zupełnie obcym świecie. Zbyt wielu wrogów ich otaczało. Musieli czekać na to, co się z nimi stanie.

*

Wrzaski i wycia były gorsze niż w czasie najgorszego ataku Hunich na Hostratheudo, aż podnosiły włosy na głowie. Do tego upiorne dźwięki dziwacznych piszczałek i rogowych trąbek oraz walenie w gongi i wielkie bębny mało nie pozbawiły ich świadomości. Nawet dwaj Huni, którzy przeżyli rzeź urządzoną przez ludzi Genezeryka rozglądali się wokół pełnymi przerażenia oczyma. Fercho próbował im wytłumaczyć, że to święto ku czci bogów ziemi i płodności, lecz trudno było mu uwierzyć. Wreszcie, gdy przez szczeliny w deskach zobaczyli ganiających półnagich, wymalowanych ludzi, którzy dobrze podchmieleni obłapiali się wzajemnie chuch zaspokajając, zaczęli z Herro wierzyć, że to nie najazd jakowychś dzikich bestii. Później piekielna orkiestra wtoczyła się na ich ulicę i mało nie ogłuchłszy, pojęli co się dzieje. Też Fercho i Bartumiej, a także młodszy od Rzymian Radagajst wraz z innymi Wandzkimi poczęli się trząść i miotać nieprzyjemnie, aż odganiać się od nich musieli. Zresztą i stróża obłędu dostała i kiedy jeno wypatrzili jakowąś już bezzębą babinę, tedy ściągnęli ją na słomę i ku ogólnej wesołości ujeżdżali ją. Grakchus zaś czuł wielki ból głęboko w piersi, myśląc, co dzieje się z Gudilą. Czy tak jak inne kobałki pozwala się chędożyć? Zgrzeszył przecie z nią, za co jak sądził Pan go pokarał tą poniewierką, ale i przywiązał się do tej, która mu wiele serca dała. I gdyby miał gladiusa w dłoni, to stałby teraz w drzwiach chaty rozpruwając każdego gwałtownika, który próbowałby ją brać. I tak się tym myśleniem zmordował, że w rogu stodoły zwinął się i posnął.

A po święcie przyszedł dzień targowy. Spędzono ich na błonie przed grodem, gdzie jak w Hostratheudo targowiska miejsce miały. Tam zagrody pobudowano dla zwierząt i podwyższenie, na którym zasiadł Genezeryk oraz rosta baba o dzikim spojrzeniu i ognisto-żółtych włosach. Zaraz też naród miejscowy i przybyły tłoczy się począł i wielka ciżba się zebrała, jakiej jeszcze w tej krainie nie widzieli. Widać po nich było, że po wczorajszych orgiach ledwo żywi są, lecz gdy na podniesieniu pojawił się mąż w skóry odziany z laską z wilczym czerepem, ożywili się i zacichli, uszu chciwie nadstawiając. To kapłan musiał być, bo przemawiał coś w dialekcie wandalskim brzmiącym twardo jak żarno młące ziarna. Wiele z tego Grakchus pojąć nie mógł, lecz zrozumiał, że ci, którzy sprzedani nie zostaną, ucieszą bogów wojny swoja ofiarą.

- Bądź pokorny – syknął do Herro wystraszony myślą, że jego butny towarzysz może źle skończyć.

Po przemowach i zaklęciach wystąpił kolejny mąż grodowy i targ się rozpoczął. Wpierw poczęto sprzedawać bydłęta. Wielu miejscowych prawdziwy amok ogarnął, bo i wołki, i byczki, i krowy przygnane znad Wandali choć zabiedzone były, to jednak roślejsze od miejscowych były i ceny szybko w górę poszły, a i do bitki kilkakrotnie między kupującymi dochodziło i straż drzewcami oszczepów bez pardonu spokój zaprowadzała. Grakchusowi zdało się, że i rzymskie monety zmieniają właścicieli, i piękne kawałki jantaru, i kęsy metalu. Potem sprzedano huńskie konie i na koniec przyszedł czas na ludzi. Raz jeszcze wyprowadzono ich na środek placu, gołych całkowicie, by naród dokładnie towar obejrzeć sobie mógł. Potem pojedynczo na podwyższenie wyganiano, a ów prowadzący jak mógł ich zachwalał.

Ich grupa stała bliżej końca i ze strachem pomyślał, że miejscowym zabraknie już środków na nich i skończą jako ofiara. Niespodziewanie zbrojni wyciągnęli Herro i pogonili na podwyższenie. Sprzedawca począł natychmiast wychwalać Rzymianina, jako niezwykłego wojownika, który wielu Hunich własnoręcznie położył. Człek musiał mieć niezwykle dar przekonywania, bo druh Grakchusa wyglądał nawet żałośniej niż on sam – skóra i kości do tego pokryte świeżymi bliznami. Lecz oto posypały się oferty i nim pacierz minął, spędzili Herro z podwyższenia i zniknął młodzieńcowi z oczu.

- Żegnaj – jęknął, czując kręcące się w oczach łzy. Został naprawdę sam.

Chwilę potem wojownik szarpnął go i pchnął w kierunku podium. Potknął się wywrócił, wzbudzając śmiech gawiedzi i wściekłość sprzedawcy. W końcu stanął, nagi i upokorzony jak nigdy w życiu.

- Ten tu niepozorny młodzian jest wielkim rzymskim szermierzem, któremu nawet najlepsi Huni część dają! Zowie się Kraku. Jest też wielce zmyślny, tedy ten, który go kupi dobrze pilnować go musi, lecz za to wiele swym sprytem Kraku wypłacić się może! Od publiki rozległy się śmiechy i gwizdy, lecz oto wstał sam Genezeryk i uniósł ramiona a cisza zaraz zapadła.

- Ten, który wątpi w słowa Hejno może stanąć do walki na ubitej ziemi. Kraku jeno z mieczem przeciw temu z tarczą i mieczem. Który śmie!

Kilku mruknęło, lecz nikt wyzwania nie podjął. Skoro wódz tak prawił...

Zaraz posypały się oferty. Grakchus próbował nadążyć wzrokiem za krzyczącymi, lecz szybko się zgubił. Jeno zlokalizował trzech, którzy stali bliżej. Wielki chłop z zajęczą wargą, łysiejący chudzielec o płaskim nosie i twarzy okrutnika i trzeci, czarnowłosy, ze srebrną przepaską odsuwająca kudły z czoła i siną farbą kłutym obrazem. Ich oczy się spotkały i Grakchus poczuł lodowatą strzałę strachu przeszywającą mu serce. Potem powstało zamieszanie i doszło do kolejnej bitki a jemu się zdało, że dostrzegł w tłumie Gudilę. I tak się tym przejął, że nie zauważył, czyją własnością został. Znów szarpnięto nim i sprowadzono z podwyższenia. Zaraz chwyciło go dwóch cuchnących drabów, którzy zarzucili mu koszulę na ramiona a szyję przyozdobili skórzaną pętlą z żelaznym kółkiem i jak byczka, na drągu poprowadzili zaułkami Setidavy. Na deser dostał kijem pod kolana aż przysiadł, wtedy odpięli mu drąg i wepchnęli do czarnej budy między inne ciała.

.....

*

Wiosna była w pełni, przynosząc wraz ciepłem wiele nowych doznań. Ludzie kończyli zasiewy i sadzenie roślin, krowy masowo cielily się a klaczki źrebiły, radując serca swoich właścicieli. Jedzenia było w bród, zwłaszcza jaj ptasich, ryb oraz świeżych roślin jak szczawie, lebiody, pokrzywy czy korzonki, które Bogulica wyszukiwała i przygotowywała. Grakchus, co drugi dzień jeździł się z gródka na pożyczonym koniu, by choć przez chwilę pobyc w swojej osadzie. Fercho stał się jego zastępcą, wrzeszcząc na wszystkich i niewiele sam robiąc, gdyż po owej bitwie sam sprawny nie był. Radagajst wymykał się do boru, by polować a i Dengiz jako człek stepów robić nie lubił, lecz milcząc wykonywał to, co mu zlecono. Posiedziawszy trochę Grakchus zaraz wracał, bo ciągnęło go do plecionych na rzymską modłę czarnych włosów. Tu jeno oficjalnie się widywali okazując sobie obojętność, zresztą młodzianek roboty miał co niemiara organizując pracę przy wytyczaniu koło glinianek nowego podgrodzia, gdzie

kuźnia miała stanąć i piece do wypału garnków. Wpierw próbował powiedzieć Wężopyskiemu, że się na tym zwyczajnie nie zna, lecz pan nie słuchał go, a poza tym często wyprawiał się bądź na łowy, bądź do osady Odisculusa, który po ubitym ojcu przejął władanie. Była tam pewna dziewczka, która strasznie Liliuma rozpałała, a do której syn Diabelskiej Twarzy też miętę czuł.

Gdy Lilium wybywał, życie w gródku zwalniało, a każdy bardziej za swoimi sprawami chodził niż obowiązkami przejmował się. Do Grakchusa przyzwyczaili się, traktując go jak swojego, w dodatku zaufanego pana, więc i kobiety ricusa zapraszały go do hali a i młoda Wiejna przepadała za jego towarzystwem, i kiedy tylko mogła przy pracach mu towarzyszyła, najczęściej przeszkadzając. Często też zachodziła w pobliże Gramila, ziół szukając, wianki plotąc czy wreszcie, jako opiekunka Wiejny. Gdy siadał by odpocząć, podawała mu garniec z mlekiem lub piwem, patrząc, jak stróżki ściekają po ogorzałej piersi. Bo też znowu nabrał ciała i mięśnie coraz piękniej grały pod skórą, głos mu już nie popiskiwał a rysy wyostrzały się. Czasami też, gdy nikt nie patrzył, klękał ukradkiem i spletał dłonie spoglądając w niebo i wzdychając żałośnie, po czym bił się kulkami w piersi aż dudniło. A wieczorami wymykał się nad jezioro i rzucał się w wodę pływając i nurkując, czasami zaś podpływał do pomostu, gdzie baby kijankami materie prały i straszył je wypluwając niespodzianie, chlapiąc czy wciągając do wody.

Któregoś wieczora, gdy rozmarzony leżał na wodzie w ostatnich promieniach słońca, poczuł mocny uścisk na ramieniu i serce przeszył strach, bo przecie nieraz to rybacy gadają o wielkich rybach i niestworzonych potworach, które w głębinach żyją i na nieostrożnych czyhają.

- Prze...przestraszyłeś się, przestraszyłeś! – Chlapnęła mu w oczy.

- Myślałem, że to może jakiś wąż z głębin, a to ty, moja Wężynko. Płyńmy stąd, bo cię kto zobaczy.

- Oj, mój dzie...dzielny Kraaaku, kto, kto nas pod słońce dojrzy? – Przywarła do jego pleców. Poczuł jej stojące sutki i natychmiast zeszywniał. Wyczuła jego napięcie i przewróciła się na plecy, by dostrzegł jej ciało. Była jak srebrzysty wodny wąż, potyskujący mieniącą się łuską. Plusnęła nogą i poczęła powoli odpływać ku niewielkiej wyspie, gdzie łabędzie i gęsi swoje gniazda miały. Jak urzeczony wpatrywał się w nią, po czym zanurzył się jak szczupak szybko ją doganiając. Wyraźnie widział jej kształtne, długie nogi pracujące żabimi ruchami, dłonie muskające wodę, dwie czarne kosy jak wędki zarzucone w głębie, na które taki drapieznik jak on musi się złapać. Dotknął ją pożądliwie a wtedy ona przewróciła się i szybkimi uderzeniami poczęła uciekać. Prawie zachłysnął się. Jak na dziewczkę ze śródlądzia doskonale pływała, lecz i on dobrze znał tę sztukę. Zaraz się zrównał i wtedy już godnie dopłynęli do trzciniowiska. Śmiejąc się cicho wyrwała się mu i pobiegła w głąb, lecz niezbyt szybko, obsykiwana przez rozgniewane ptaki. Wyspa cuchnęła łąnkiem, lecz ona znalazła wyższe miejsce jeno mchem porośnięte, gdzie ułożyła się, przyglądając się jego rozmazanemu w mroku cieniowi. Potem objął ją, a ona ufnie wtuliła się weń, by mógł udowodnić swoją męskość i niejaki doświadczenie. Wreszcie legli słuchając nocnego życia wyspy.

- Nieeeewiele czasu mi oostało – rzekła ze smutkiem głaszcząc go czule.

- Poproszę Liliuma o ciebie. Przysięgnę... – jej dłoń trafiła jego usta.

- Ni...nico to nie da. On mnie za..zaprzysiągł. Z bo...bogami żartów nie...niema.

- Mój bóg jest jedyny i najpotężniejszy. Te wasze to jeno złe duchy i wymyśli...

Nauczę cię o Jezusie i rzekniesz bratu, że do chramu nie pójdziesz.

- Wteeedy za...bije mnie i ciebie i wszy...wszystkich od ciebie.

- Tedy uciekniemy razem.

Usiadła i poczęła go gładzić po włosach.

- A do...dokąd? On zna tu ka...każdą ścieżkę. Mu...musimy pogodzić się z losem.

Chodź, czaaas nam do doma. - Pociągnęła go za sobą.

Milcząc przepłynęli pod gródek i odszukawszy swoje odzienie rozeszli się. Ktoś zaprosił Grakchusa na garniec świeżego miodu, lecz młodzian zbył go burknięciem. W krótkim życiu wiele już przeszedł, lecz terazniejsze uczucie było najmocniejsze ze wszystkich.

*

Pomysły przychodziły mu co chwila do głowy, lecz szybko je odrzucał. Jak rozwiązać problem, który coraz pełniej wypełniał jego duszę? Żył jakby w gorączce, w zawieszeniu, z wielkim trudem udając, że wszystko jest normalne. Prace i przy chacie, i w zagrodzie czy na polu przebiegały tak, jak u innych osadzców i kmieci. Sierpami poczęli kosić trawę na siano dla bydła, chodzili w pole, by pielic chwasty i przeganiać szkodniki, łapali ryby, które podpatrzywszy innych kazał wędzić; w słońcu suszyło się mięso ubitego łosia. Grakchus wyszukiwał najmniejszy pretekst, by udać się do gródka, wzbudzając wprawdzie irytację a potem podejrzliwość Wężopyskiego. Lilium szybko zorientował się, że jego najstarsza córka tak jak i typie ślepiami za Rzymianinem, że w rozmowie z innymi kobiałkami wciąż o nim wspomina. Częste wizyty, szybkie spojrzenia wywoływały zmarszczenie brwi i zadumę. Na pewno Wiejna nie była dla tego byłego niewolnika i gołodupca. Lecz młody miał wiele pomysłów i niezwykły dar organizowania wielu przedsięwzięć, który dla Liliuma i jego ziemi były bardzo pożyteczne. Widział także, jak szybko zagospodarowuje się Krak i to także budziło niepokój w sercu. Teraz jeszcze nie, ale za rok, najdalej trzy może będzie chciał się oderwać? Usamodzielić? A może zabić Liliuma i przejąć całą schedę? Dlatego, gdy młodzianek pojawiał się w gródku, udawał życzliwe zainteresowanie, używał to koni, to wołków, to materii czy narzędzi i kazał go dyskretnie śledzić.

Lecz obecnie najbardziej pochłaniały go sprawy związane z kapłanami i zbliżającym się świętem. Oddanie Gramili do chramu było oczywiście powodem do chwały i nobilitacji, lecz okazało się, że kapłani chcieli wziąć na służbę także inne dziewczęta z co znaczących rodów. Droga do wyniesienia pomiędzy rycami, by dorównać Genezerykowi, która wcześniej wydawała się prosta, mocno skomplikowała się. Ileż to dobrego srebra i żelaza, ile jantaru i wołków pięknych musiał Lilium zawieźć nad brzeg Gotla, a zachłanni kapłani wciąż kręcili nosami.

Grakchus przyznał się Herro, który pod grodem zamieszkał, do swojej przypadłości. Przyjaciel już wcześniej go ciągnął za język, lecz młodszy Rzymianin to milczał, to kręcił.

- Nie wiem, co robić? – Wyznał prawie becząc.

- No, a Fanna czy Gudila? – Herro umiał znaleźć drobną choć przyjemność w przytknięciu drucha.

Odpowiedziało mu machnięcie rękoma. No tak. Sprawa poważna.

- Znajdziesz sobie inną. Już o tobie po osadach gadają i panny krasne aż kolana ściskają. Po prawdzie, to także i o mnie mówią, bo przecież i postawniejszym od ciebie, i gęba ma gładsza, i... – Wyrzucił z siebie

Herro.

- Oj przestań. Sam już ogłupłem od tych myśli. Wymyśl coś choć raz!

- Wiesz, ale jak Wężopyski dowie się, to zabije i ciebie, i ją.

- Więc zabiję go! – Warknął Grakchus.

- Głupiś! To wtedy my wszyscy gardło mamy za bunt. Może jakoś go uprosisz? Możesz mu obiecać, że wojów mu wyszkolisz, że...

Zamilkł pod miazdzącym spojrzeniem.

- Powiem ci, że zbrzydło mi już to zawżone miejsce. Jeszcze w Hostratheudo czy w Setidavie, to może bym wytrzymał... Ale tu? W polu robić? Drzewa ciąć? Coś wymyślę, ale musisz przygotować się na najgorsze. I powinienes jakoś ostrzec swoich. Idź już teraz.

.....